

RZECZPOSPOLITA

18 czerwca 2009

<http://www.rp.pl/artykul/321618.html>

Rząd musi ponieść konsekwencje błędów

Jest rok 2009. Załóżmy, że jest Pan ministrem finansów. Spowolnienie gospodarcze jest głębokie, dochody budżetowe kuleją, deficyt finansów publicznych rośnie, plany wejścia do ERM2 się oddalają. Co Pan robi?

- Przedstawiam kompleksową strategię zrównoważonego rozwoju. Dyscyplinę budżetową należy utrzymywać zawsze, natomiast dogmatów w tej materii – też zawsze – należy unikać. Problem obecnego rządu polega na tym, że deklarując chęć utrzymania deficytu na poziomie około 18 mld zł przestrzelił z restrykcyjnością i doprowadził błędną polityką do deficytu znacznie większego. Gdyby pójść linią, którą postulowałem jeszcze jesienią, i później też, w "Liście otwartym do premiera RP", gdyby inteligentnie ex ante zwiększyć deficyt o jakieś 7 mld zł i ukierunkować dodatkowe nakłady publiczne na te sfery działalności gospodarczej, gdzie pojawiłyby się efekty mnożnikowe – zwłaszcza poprzez gwarancje rządowe i inwestycje infrastrukturalne – mielibyśmy deficyt mniejszy niż ten, który teraz staje się faktem. I byłby on niższy przy wyższym poziomie produkcji i zatrudnienia.

Pan podniósłby deficyt budżetowy już na początku roku?

- Tak. Po to, by w efekcie mieć deficyt mniejszy, niż rząd ma. Jeśli nie od razu w tym roku, to na pewno w sumie w latach 2009-10. Ale nie to jest najważniejsze. Zasadniczo gra idzie o utrzymanie na ścieżce szybkiego wzrostu gospodarczego długofalowej równowagi nie tylko finansowej, ale także społecznej i ekologicznej. Co prawda dzisiaj, w warunkach stagnacji i recesji, mowa o szybkim wzroście gospodarczym brzmi jak szyderstwo, ale pół roku temu były jeszcze szanse przejścia przez rok 2009 przy wzroście gospodarczym na poziomie około 3 proc.

Dziś już wiadomo, że takiego wzrostu nie osiągniemy.

- Niestety, ponieważ zwyciężył doktrynerski upór – bo taki właśnie, a nie pragmatyczny ma on charakter – aby ciąć wydatki. Jeśli rząd w ciągu kilku dni znajduje 19 mld oszczędności, to albo ten budżet był niewiele wart, albo to "znalezisko" jest iluzoryczne.

To jedyny zarzut, jaki kieruje Pan pod adresem rządu?

- Zasadniczym błędem było to, że rząd nie poszedł na politykę reflacyjną. Miast interweniować i bezinflacyjnym pieniądzem naoliwić gospodarkę, aby hamować dekoniunkturę, polityka ukierunkowana została na ortodoksyjne "oszczędności", które tylko tę dekoniunkturę wzmogły. Nakłada się więc oddziaływanie światowego kryzysu na mankamenty krajowej polityki. A kryzys to bardzo poważny, bo nie tylko finansowy i

coraz silniej uwidoczniający się w sferze produkcji, ale teraz przesuwany się do sfery społecznej i politycznej, a z czasem również do ideologicznej, bo to też kryzys wartości, które usiłuje narzucić neoliberalizm.

A wracając do gospodarki?

To także kryzys nadprodukcji. Problem nie polega na braku surowców, rąk i głów do pracy, technologii, maszyn. Brakuje efektywnego popytu. I z tego wynika oczywisty wniosek dla polityki gospodarczej: trzeba kreować dodatkowy strumień popytu. Niewykorzystanie mocy wytwórczych jest szkodliwe i dewastujące nie tylko doraźnie, ale także długofalowo. Skoro przedsiębiorcy nie mogą ich wykorzystać, to dlaczego mieliby je poszerzać na przyszłość poprzez nowe inwestycje? To bardzo poważne zagrożenie, bo obecny kryzys może odbić się echem dekapitalizacji. I dlatego nadal aktualny jest postulat o naoliwieniu gospodarki, podobnie jak robi to cały rozwinięty świat. Z tym naszym nadwiślańskim neoliberalizmem i właściwym mu doktrynerstwem jesteśmy bardziej rynkowi niż sam rynek.

Rząd uważa, że nadmierne zadłużanie doprowadzi do podniesienia rentowności naszych obligacji i wzrostu kosztów obsługi długu.

- To niepoważny argument. Nie tylko dlatego, że tu nie chodzi o "nadmierne zadłużanie", tylko o racjonalność makroekonomiczną. I, jak już powiedziałem, to teraz – teraz właśnie! – rząd będzie się dodatkowo zadłużał i już tego argumentu nie usłyszymy.

Ale chyba jeszcze nie jest za późno, aby podjąć radykalne kroki i spróbować ożywić gospodarkę?

- Trzeba ponieść konsekwencje błędów i zgodzić się na większy deficyt i bezrobocie, niższy PKB i skurczoną bazę podatkową. Można nieco zwiększyć dochody, najłatwiej manipulując przy akcyzach i w tym kierunku z pewnością rząd pójdzie. Jeśli przy tej okazji uda się jeszcze bardziej zracjonalizować pewne grupy wydatków, czy poczynić sensowne oszczędności nie blokujące przedsiębiorczości i bez szkód dla kapitału społecznego, należy to uczynić. Nade wszystko trzeba przygotować sensowny budżet na rok 2010, od razu z projekcją na następne dwa lata. Konieczny jest bowiem tak doraźny interwencjonizm, jak i wydłużenie perspektywy. Podmioty gospodarcze, także partnerzy zagraniczni, powinny znać makroproporcje, co do których utrzymania jest polityczna determinacja. Trzeba też odpowiedzialnie określić rok wejścia Polski do obszaru euro po sfuszerowaniu sprawy z rokiem 2012.

Jaka data przyjęcia euro jest realna?

- Szkoda, że już do tego nie doszło, choć mogło. Wejście do strefy euro jest sprawą strategiczną. Teraz korona nam z polskiej głowy nie spadnie, jeśli będzie to rok 2015 lub, lepiej, 2013. Najważniejsze jednak jest, przy jakim kursie to się stanie. Konsekwentnie uważam – a głosiłem to także przy kursie 3,20 i 4,90 – że około 4 zł za euro jest kursem właściwym, który stwarza szansę na utrzymywanie długofalowej równowagi

zewnątrznej. Brak wiarygodnej informacji w tak kluczowej kwestii destabilizuje oczekiwania, a decyzje ekonomiczne, zwłaszcza inwestycyjne, zawsze na nich są oparte. Brak wiedzy o kształtowaniu się w przyszłości podstawowej ceny w gospodarce, jaką jest kurs narodowej waluty, odbija się niekorzystnie na funkcjonowaniu zarówno małych firm rodzinnych, jak i wielkich stoczn. Inaczej zachowują się producenci i konsumenci wiedząc, że kurs konwergencji wyniesie plus/minus 4 zł, inaczej szarpiąc się między niepewnością, czy będzie to 3,40, czy może 4,80.

Kurs złotego wyraźnie osłabł w porównaniu z ubiegłym rokiem, co pomaga eksporterom. Od kilku miesięcy import słabnie znacznie bardziej niż eksport.

- Lepiej byłoby, gdyby eksport rósł szybciej niż import. Już dawno postulowałem interwencję na rzecz osłabienia złotego, bo to wzmacnia polską gospodarkę poprawiając konkurencyjność naszych przedsiębiorstw. To osłabienie bynajmniej nie jest zasługą ani rządu, ani banku centralnego, bo nie uczyni oni nic w tym kierunku. To skutek szoku zewnętrznego i spekulacyjnych harców, na które przyzwala reżim całkowicie płynnego kursu. Teraz, dzięki osłabieniu, spora część firm znów opłacalnie produkuje i sprzedaje z zyskiem za granicą. Wyobraźmy sobie, co byłoby, gdyby na kryzysowe załamanie u naszych partnerów handlowych nałożyło się euro po 3,20! Mielibyśmy w tym roku recesję rzędu nie 1-2, ale 5-6 proc.

Uczestniczył Pan w spotkaniu u prezydenta na temat kondycji polskiej gospodarki. Czy przedstawił Pan scenariusz wyjścia z kryzysu?

- Nie to było celem spotkania, choć zarys takiej strategii pokazałem. Pan Prezydent ze znajomością rzeczy i troską wypytywał gości, jak widzą sytuację gospodarczą, zwłaszcza budżetową. Zgodziliśmy się – wszyscy – że budżet był nierealistycznie zaprojektowany od początku. Że większy deficyt jest już nieuchronny. Że da się go sfinansować na rynkach krajowym i międzynarodowym. Że jesteśmy skazani na zwiększenie podatków, choć nie dyskutowano jakich.

Czy padło pytanie o akceptację prezydenta na tego typu ruch?

- Nie, nie było o tym mowy. Natomiast radziłem, by Pan Prezydent więcej nie mówił o obniżce VAT-u. Polemizowałem też z tymi, którzy cieszą się, że oddala się perspektywa wejścia do strefy euro.

W swej głośnej książce "Wędrujący świat" przewidział Pan kryzys, pokazując jego mechanizm. Czy w takim razie jest Pan w stanie powiedzieć, kiedy wrócimy na ścieżkę wzrostu rzędu 6-7 proc. PKB w skali roku?

- "Wędrujący świat" to fascynująca podróż w czasie i przestrzeni wyjaśniająca w literackim stylu istotę długofalowych procesów rozwojowych. Na ich tle obecny kryzys to incydent. Nie pierwszy, i nie ostatni. Dlatego tak dużo piszę o przyszłości, bo to ludzi najbardziej interesuje. Jedne zjawiska i procesy są przewidywalne, inne zaskakują. Ten kryzys był do przewidzenia, jeśli rozumie się, co od czego zależy. A wracając do

konkretnego pytania. Polska ma potencjał na szybki wzrost, może już nie 6-7 proc., jak podczas mojej "Strategii dla Polski", ale – zważywszy na kapitał społeczny, jakość instytucji i korzystne położenie geopolityczne – na jakieś 5 proc. Nie jest to wszak możliwe bez odejścia od zgubnej doktryny neoliberalnej. Ucieczka do przodu musi polegać na tym, co w "Wędrującym świecie" opisuję jako nowy pragmatyzm. Sądzę, że z czasem weźmie on górę. Warto.

Rozmawiała: Elżbieta Głapiak